



Józef Weysenhoff

Sprawa Dołęgi

Józef Weysenhoff

Sprawa Dołęgi

Armoryka
Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce obraz wygenerowany przez tengr-ai

Tekst wg edycji z roku 1917.
Zachowano oryginalną pisownię.

© Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo Armoryka
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-375-8

I.

Sosnowy las stary, ale niezbyt zwarty, podszyty był zwiłkanym gąszczem leszczyny, głogów, młodych odrośli drzew liściastych, obnażonych w tej porze roku i przyprószonych, jak cukrem, lekką warstwą świeżego śniegu. Długa, prosta droga, dzieląca stary las od bujnego zagajnika, świeciła blaskiem ponowy, wyiskrzanej klasycznie na pierwszy dzień polowań w Warze. Ranek był mroźny, bez wiatru, pogoda wesoła. Całą linię strzelców, rozstawionych wzdłuż drogi, twarzami do lasu, przenikał dreszcz myśliwski, ten dreszcz specjalny, który trzeba znać, aby go zrozumieć; składa się z prastarych jakichś instynktów zdobywczych, i z namiętności gracza, i z rozkoszy fizycznej, którą daje uścisk natury dzikiej, pełnej niespodzianek.

Cicho było na wielkiej drodze. Lada dźwięk nabierał w tej ciszy wielkiej echowej doniosłości, i Dołęga słyszał ze swego stanowiska, na kilkaset kroków, gdy który z myśliwych tupał nogami dla rozgrzania się, lub okrzesywał przed sobą gałęzie dla rozszerzenia widoku i pola strzału.

Wóz jednokonny, na którym chłop wiózł babę owiniętą w chusty, nadjeżdżał, postukując po drodze Chłop, spostrzegłszy pierwszego myśliwego, zdjął baranią czapkę i zajęczał coś, czego Dołęga nie dosłyszał, co jednak musiało być chrześcijańskim pozdrowieniem. Usłyszał za to wyraźnie odpowiedź:

— Czego się tu włóczysz? Zawracaj do dyabła! Chłop nie zawrócił, tylko ściągnął batem szkapę, która, ślizgając się, poszła kłusa, a wóz zaturkotał po grudzie, nie dosyć jeszcze śniegiem pokrytej, i dudniał tak wzdłuż linii, przeklinany gęsto przez myśliwych, bo zaraz mogła ruszyć naganka, mógł lis się zwrócić od hałasu na drodze, mogła też baba, siedząca na wozie, przynieść nieszczęście, według zwykłego myśliwym przesądu. Chłop wiedział to wszystko, ale widocznie tak myślał:

— Będzie, co będzie, a ja tam do miasta muszę przed południem...

Poganiał, uchylał czapki, udawał pokorę i jechał dalej, aż minął linię strzelców, i znowu zaległa cisza.

Dołęga, który studia inżynierskie odbył na Zachodzie, myślał sobie teraz, przeprowadzając oczyma tę nędzną chłopską furmankę:

— Francuz, Szwajcar, Belgijczyk byłby przejechał tą publiczną drogą, nie witając nieznanomych ludzi, i niktby nie śmiał wymyślać mu za to, że jedzie... Czy to lepiej? bo znowu klasy oświecieńsze, bogatsze, no i starsze, muszą się otaczać pewnym poszanowaniem... Belgijczyk za to miałby lepszego konia i po doskonalej szosie, nie po tej podłej grudzie, jechałby prędzej... O, właśnie szosy

— wszędzie, do wszystkiego potrzebne szosy!

Myślał lekko, sennie, jak się myśli na stanowisku w lesie, w różowym upojeniu zimowego rana.

Teraz ciszę zamącił dźwięk gwałtowny, rytmiczny, zbliżający się. Na rasowym koniu przejeżdżał cwałem starszy strzelec, podłowczy, piękny chłop szlaski, zaszyty jak w pancierz w szarą kurtę z zielonemi wypustkami, ze szlifą na ramieniu, z książeczą koroną na przodzie kaszketu. Walił przez drogę pochylony, zmarszczony, niby ordynans, niosący najpilniejsze wieści o nieprzyjacielu, aż serce rosło Dołędze, który lubił nadewszystko energię.

— Szrapl! — krzyknął sąsiad Dołęgi na lewo, jegomość ze szpakowatemi, faworytami, pełen godności.

Podłowczy osadził konia

— Powiedzno, Szrapl, dlaczego my tu marzniemy od pół godziny, a naganka nie rusza?

— Bo, proszę pana barona — odpowiedział mocnym, zdyszonym głosem i łamaną polszczyzną podłowczy — z tutejszymi chamami nie można być gotów; ta kanalia jest w kij głupia i ja sam muszę oba skrzydła zaciągać.

— No, zwijaj się, zwijaj chłopcze! — odrzekł protekcyjonalnie baron Kersten, kiwając po królewsku głową.

— Zaraz będzie trąba! — zawołał Szrapl i pocwałował dalej.

Dołęga spojrział z ukosa na oddalonego o kilkadziesiąt kroków sąsiada na lewo i myślał:

— Dłatego, że stary książę mówi mu »ty«, a księżna czyta mu swoje elukubracje pamiętnikowe, ta napuszona figura traktuje wszystkich z góry. Mnie nawet zaczął już protegować... chciałbym wiedzieć, z jakiego tytułu?... Za to ten drugi nie gada ze mną zupełnie, a bardziej mi potrzebny. Co może się też kryć pod tą niemą maską?

I spojrział na drugiego sąsiada, na prawo.

Niezamącony, pogardliwy spokój bił od tej suchej postaci, przybranej w angielski kostyum, od tego ostrego profilu, prawie bez zarostu. Stał tak nieruchomie twarzą do lasu, z rękoma w kieszeniach kurtki, za nim podręczny strzelec tak poprawnie trzymał dwie strzelby, że tworzyli razem niby grupę, odlaną z wosku na wzór, jak ludzie, którzy się szanują, powinni wyglądać na polowaniu.

Był to hrabia Adam Szafraniec, jeden z najbogatszych ludzi w kraju. Nie żonaty, zaledwie trzydzieści lat liczący, zyskał już sobie reputację skąpca. Jeździł po swych rozległych dobrach, zbierając pieniądze, i rzadko nawet pokazywał się w miastach z obawy przed wyzyskiem swojej szczelnie zamkniętej szkatuły. Wymagano od niego wprawdzie za wiele, ale nie

otrzymano dotąd nic. Tę nienaturalną w młodym człowieku namiętność do pieniędzy niektórzy tłómaczyli na jego korzyść: »Szafraniec zachowuje się do czasu jakiegoś szerszego działania, robi też dużo dobrego po cichu«.

Słyszał o tem i Dołęga, więc teraz myślał:

— Byle tylko przełamać tę inercję, poruszyć go, pchnąć... ale jak to trudno! Rozmówić się nawet nie można: spytać go o zdanie, wytrzeszczy niebieskie oczy i odpowie dwa słowa zagranicznym akcentem.

Wtem przeniknął ciszę odległy dźwięk. Nie przedarł jej, tylko przeniknął, wypłynął z lasu i napełniał powoli rozkołysane powietrze. Potem głos trąbki potrylował przez kwarty i zamarł na niskiej oktawie. Odpowiedział mu dalszy sygnał.

Chwila ciszy niespokojnej: nie słyhać jeszcze nic, ale już płatki śniegu spadają z gałęzi; nic jeszcze nie. widać, ale migają niby cienie spłoszonych mieszkańców kniei.

Jakiś, zdaje się, okrzyk... teraz kilka, kilkaset niewyraźnych krzyków, zlewających się w dziwny, jak szum morza, szum zbliżającego się tłumu. Już Dołęga rozróżnia regularny postuk kołatek i pojedyncze, wyrzucane przez chłopięce gardła, przewlekłe:

— Kota-a!

— Idzie naganka — rzucił przytłumionym głosem Kersten ku Dołędze, tonem pośrednim między twierdzeniem a pytaniem, bo nie chciał się przyznać do przytępionego słuchu.

— Idzie.

— Padł strzał daleko, na prawo.

— Tak wcześnie, pewno do dzików! — odezwał się znowu Kersten.

— Zdaje mi się, że powinniśmy być cicho — odpowiedział sucho Dołęga.

— Pan inżynier ma rację — zakończył Kersten i patrzył w las, zżymając się, jakby chciał ogłosić zającom, że ten pan, co obok stoi, nie zna form światowych, nie zna respektu dla ludzi szanownych i wysoko...

Wtem kiwnął się i przyłożył strzelbę do ramienia, ale ją odjął i, przechylając się, usiłował odnaleźć dostrzeżoną przed chwilą rudą plamę.

Dołęga dawniej już zobaczył przemykającego ku linii lisa, który teraz, spłoszony ruchami Kerstena, rzucił się w bok i, przeciw ustalonej przez bajkopisarzy opinii, najgłupiej wyszedł na linię o dziesięć kroków od Dołęgi. Ten był zupełnie przygotowany, wypuścił lisa do pół drogi i położył go jednym strzałem na śnieżystym kobiercu. Kersten rzucił pożądlivem okiem na ponętą zdobycz, poczem odwrócił się prawie tyłem do Dołęgi.

Coraz częściej strzelano, coraz głośniej postępowała naganka, wybuchając czasem nieludzkim krzykiem, jak psy, gdy zaczęną gonić na oko. Dołęga zabił

jeszcze cztery zające i cieszył się, że tak dobrze strzela, bo choć nie miał dotąd ani czasu, ani wprawy do polowania, lubił łowy i lubił wszystko, co robił, robić dobrze. Szafraniec położył pięć zajęcy, wszystkie w tem samym miejscu, na prawo za drogą. Kersten strzelił kilka razy, ale nic nie zabił.

Naganka doszła do linii; krótkie hasło trąbki zatrzymało ją i oniemiło. Powstał teraz wesoły gwar i ruch myśliwych w kierunku do Szafranca, który miał stanowisko ostatnie przy lewym flanku. Szafraniec posłał na stanowisko Dołęgi Strzelca, aby obejrzał lisa; sam nie lubił ruszać się niepotrzebnie, ani rozmawiać z mało znajomymi; Dołęga zaś opuścił swych sąsiadów, wśród których było mu nieswojo, i szedł na spotkanie zbliżającego się Andrzeja Zbarazkiego.

Andrzej postępował, kołysząc zgrabnie długą swą postać, wyższy o głowę od całej otaczającej go grupy, i uśmiechnięty tak uprzejmie, że można mu było przebaczyć strojność postawy i ubliżająco cienkie rysy. Ciemne, kobiece oczy o długich rzęsach łagodziły wyniosłość tego potomka hetmanów.

— Cóż zabiłeś, Janku? — wołał już zdaleka.

— Mam cztery zające i lisa — odpowiedział Dołęga.

— Lisa?! brawo! to rzadka u nas zwierzyna. A ja bardzo gości swych przepraszam, ale zabiłem dzika. Cóż było robić? — wyszedł na mnie, jak po sznurku.

— Ślicznie położył tego odyńca — świadczył powagą swoją Hektor Zawiejski — z przyrzutu, w gąszczu takim, jak strzecha! — i zrulował go w biegu, jak kota.

Andrzej patrzył na mówiącego ze swego wysokiego piętra, mrużąc uprzejmie oczy; nie przeczył mu, chociaż wiedział, że strzelił wprawdzie celnie, ale do stojącego dzika. Gdyby zaprotestował, wywołałby replikę ze strony Hektora, którego nieco krzykliwą wymowę znał oddawna i unikał jej.

Wkrótce myśliwi zeszli się wszyscy na stanowisku hrabiego Szafranca. Zawiejscy z Chwaciejówki, ojciec i syn, sąsiedzi Waru, mieli obaj ważną jakąś sprawę do Szafranca, wzięli go pod rękę i prowadzili przodem w kierunku nowych stanowisk.

Do Andrzeja, który stał z Dołęgą, przypadł Szrapl, salutując z konia, po żołniersku.

— Czy książę pan rozkaże razem zajmować zagajnik, jak jest w planie, czy opuścić, a zając tylko od trzech kopców?

— Tak, jak w planie — odpowiedział Zbarazki.

— Na rozkazy waszej książęcej mości — zagrzemiał Szrapl. — No, dalej, chłopcy! żywo! — zwrócił się do kilku gapiów z naganki, którzy ociągali się za szeregami, aby przyjrzeć się panom. Czego stoita gawrony? Chcecie pejczem?!

I najechał koniem na stojącego najbliżej wyrostka, pchnął go trzonkiem od

kańczuga, aż się chłopiec przewrócił, i z ziemi spojrział nienawistnie na jeźdźca.

Andrzej zawołał Szrapla, a gdy ten zwrócił konia i podjechał bliżej, rzekł mu cicho:

— Niech Szrapl pilnuje porządku, ale niech nie trątuje ludzi. Proszę.

Podłowczy skłonił się milcząc i odjechał.

Andrzej wziął Dołęgę pod rękę i postępowali razem po wązkiej ścieżce, prostopadłej do pierwszej linii, odpowiednio do kierunku nowego zakładu. Po ścieżce tej ciągnęli myśliwi wydłużoną czeredą; od czasu do czasu jeden z kompanii ubywał, spostrzegłszy numer swego stanowiska na plecionym z jałowca koszu. Miejsca Zbarazkiego i Dołęgi były jeszcze daleko, więc, idąc, gawędzili.

— No, nie wiedziałem — mówił Andrzej — że z ciebie i myśliwy, bo żeśmy tam, na uniwersytecie, dobrze strzelali z pistoletu, to inna rzecz, to było potrzebne, zwłaszcza dla ciebie, z twoim burzliwym temperamentem. — Ale, gdy mowa o temperamencie, co ty myślisz o pani Izie?

— Nie wiem, co myśleć; znam ją dopiero od przedwczoraj. Piękna jest.

— Prawda? — przytem, mimo wszystko, co tam się da o niej powiedzieć, osoba wyższej kultury, dobrej rasy.

— Na tem ja się nie znam — odparł szybko Dołęga — a przynajmniej inaczej rozumiem rasę.

— Ech, bo ty jesteś Katon; ale ja ci mówię, że kobieta rasowa inna jest — no, jakby to powiedzieć? — inny ma smak.

Dołęga stanął i zadarł głowę, aby zajrzeć prosto w oczy Zbarazkiemu; podparł się w boki, zaciął usta i przybrał tę postawę wyzywającą, która mu zyskała na uniwersytecie przydomek »białego koguta«, miał bowiem bardzo jasne włosy i wąsy, ciekawie zespolone z energicznym profilem i niskim czołem, fałdującem się w podkowę. Andrzej podparł się również w boki i spoglądał na Dołęgę przez swe długie, czarne rzęsy. Wyglądali razem zabawnie.

— Mój Andrzeju! — rzekł wreszcie Dołęga — albo jesteśmy starymi kolegami i mówimy szczerze, albo politykujemy tak, jak okłamują się wzajemnie sportowi mężowie stanu, jak porozumiewają się pan Mędrkowski z panem Nieprzewąchalskim.

— Nieprzewąchalski? — czy to szlachta? — zapytał Andrzej, tak komicznie naśladując głos i ruch ojca swego, księcia Janusza, do którego był podobny, że Dołęga parsknął śmiechem i zmienił postawę.

— Nie można z tobą gadać poważnie.

— No, na polowaniu, pozwól, mój drogi mistrzu — ciągnął Zbarazki miękko, śpiewnym głosem, biorąc znowu Dołęgę pod ramię i idąc z nim dalej — pozwól być trochę, że się tak wyrażę, lekkomyślnym. A zresztą niech mi

wolno będzie zapytać, dlaczego się mnie czepiasz?

— Dlaczego? nie rozumiesz? — rzekł zatrzymując się Dołęga — bo, jeżeli myślisz o... smaku pani Hohensteg, to wszystko, co mi mówisz od miesiąca o innym głębszym uczuciu...

— Ach, to co innego — gdzież tam — przerwał Andrzej i zgasła mu wesołość w oczach.

Poszedł śpieszniej i po chwili mówił, jakby żaląc się:

— Ty mnie tyranizujesz swoją nieprzejednaną prawością, i wogóle stawiasz kwestye zanadto spiczasto, — życie takie nie jest, nie można ciągle żyć jedną logiczną myślą; trzeba się czasem poddać i przelotnym wrażeniom. — Zresztą, cóż ci mówię? Ze kocham się w pani Izie? — wcale nie. A ona nie jest znów tak łatwą zdobyczą...

— Co to, to mówiąć między nami... — mruknął przez zęby Dołęga.

— Jakto? — ożywił się znowu Zbarazki i błysnął zmysłowo zębami — miałeś z nią jakieś drobne przejście...

— Broń Boże! — tylko słyszę, jak gada, widzę, jak się wdzięczy do wszystkich, do ciebie, szlachetnego Hektora, nawet do tego stroiciela fortepianów.

— Jakiego stroiciela?

— No, tego muzyka, jak on się nazywa?

— Ależ mój Janku! pan Amon jest najlepszym uczniem Rubinsteina!

— Może być. — Ja wolę twoich trębaczy! Wracając do hrabiny Hohensteg-Wildstein, mnie się ta egzotyczna pani wcale nie podoba, zwłaszcza w domu twoich rodziców, w towarzystwie twojej siostry.

— Mój drogi — odpowiedział Zbarazki — pani Iza jest przecie Polką i naszą krewną; pożyczyla tylko nazwisko od męża, którego nie widujemy, bo nie wyłazi z Austrii. Pani Iza należy do konieczności towarzyskich, spotkasz ją wszędzie; — gdybyśmy zaczęli tak przebierać...

— Właśnie trzeba przebierać, na waszem stanowisku obowiązkiem jest przebierać.

Andrzej spojrział ukradkiem na Dołęgę z dziwnym uśmiechem, w którym przez przyjaźń przebijało trochę szyderstwa.

— Tobie się nikt nie podoba. Jakbyś przesiał wszystkich przez swoje sito, pozostałoby na wierzchu może kilka osób, i to nieboszczyków: Mickiewicz, Batory, święta Kunegunda...

— Nie wiem, czy dobrze się rozumiemy. Ja przecie nie jestem księdzem, ani cenzorem obyczajów, tylko chcę, aby wartość ludzi nie była fikcyjna, lecz rzeczywista, żeby w kursie społecznym asygnaty były złotem, nie tylko asygnatami, — i moje sito, o którym mówisz, jest przyrządem taksacyjnym; nie

mam dosyć władzy, aby stosować ten przyrząd, ale wolno mi za nim przemawiać i bronić mojego systemu arystokracji.

— Dobrze — odpowiedział Andrzej, którego zwrot rozmowy zaczynał nużyć
— więc pani Iza jest, według ciebie, asygnatą. Jabył ją wziął, przyznam się...
— O! słuchaj — sygnał. Do widzenia. Będą sarny w tym zakładzie — napewno.

II.

Słońce wzbilo się wyżej i ugrzęzło w rozwłeczonych po niebie szarych chmurach, dzień spowszedniał, znikły różowe odbłyски po lesie, śnieg nie iskrzył się, naganka hukala mniej wesoło. Ale polowanie szło dobrze, gęste strzały świadczyły o doskonałym stanie zwierzyny i o wybornej komendzie Szrapla.

Dołęga przechodził ze stanowiska na stanowisko, bardziej zadowolony ze swego strzalania, niż z rozmowy z Andrzejem.

— Zawsze powiem za dużo; nawet z nim, choć to przyjaciel, trzeba mówić oględniej. — Ale co ja tu robię wogóle od czasu tego zjazdu na polowanie? — Póki miałem płatną robotę, wszystko było w porządku. — Teraz? — No, ci wszyscy ludzie potrzebni mi do sprawy. Szafraniec, stary Zawiejski — tacy bogacze! — Gdybym wyjechał przed polowaniem, nie poznałbym ich, a gdybym nie poznał... moje szosy byłyby ciągle tylko na papierze. — Prawda i to.

Znowu szła naganka, padł gdzieś pierwszy strzał.

— Tymczasem — kończył swe rozmyślenia Dołęga — skoro z nimi poluję, trzeba ich przestrzelać. Nic to nie zaszkodzi.

Miał tym razem stanowisko flankowe, zwykle poszukiwane przez myśliwych. Zdawało się rzeczywiście dobrem, bo na prawo polana przyczyniała się do łatwości strzału, a zwierzyna przyciśnięta ostatecznie przez matnię naganki i lewe jej skrzydło, m usiała pójść na polanę. Była jedna przeszkoda: prostopadle do linii strzelców przechodziła wielka droga, przecinająca linię właśnie przy stanowisku Dołęgi. Po drodze tej starożytnej, zwanej »traktem Warszawim«, ciągnęły nieustannie, między poszczerbionym dwójrzędem lip, rozmaite furmanki. Niepodobna było nawet je zatrzymać: jechało ich za wiele.

Jan zżymał się, że mu spłoszą zwierzynę, spostrzegł jednak niebawem stado sarn, śmigające, jak płowa błyskawica, o jakie dwieście kroków przed nim, z lewa na prawo, ku owemu traktowi. Wrzask na prawo — to skrzydło naganki przyjęło okropnym okrzykiem wymykające się z ostępu stado. W jednej chwili sarny, zwrócone były już przed Dołęgą. Zobaczył zbliżka starą kozę, na czele stada, mijającą w pysznych, mądrych skokach drzewa i krzaki; widząc już linię strzelców, postanowiła rozpaczliwym ruchem przemknąć, licząc na sprężystość swych stalowych mięśni. Nie wiedziała jednego: że do kóz strzelać tu nie będą. Za nią skakało zygzakiem młode kozłę, naśladowując ruchy matki. Trzeci dopiero, nieco opodal, z głową bardziej wzniesioną, sadził kozieł.

— Ten mój! — pomyślał Dołęga i wymierzywszy dobrze przed pierś kozła,

strzelił.

Mignęło jeszcze kilka sztuk, poszedł głuchy grzmot racic wzdłuż linii myśliwych i zagrała gęsta strzelba, zmieszana z okrzykami naganki.

Kozieł znikł po strzale i już go Dołęga chciał pójść szukać po kniei, gdy zobaczył chłopców wlokących kozła za nogi, z wielkim trudem i głośnym zadowoleniem.

— Dawajcie go tu! — krzyknął również radośnie Dołęga, a gdy już śliczne zwierzę legło na linii, farbując ciepłą krwią śnieg podeptany, przemknęła Janowi myśl przez głowę, z czego się ci drapieźni chłopcy — i ja z nimi — cieszymy?

Ale było to raczej mętne poczucie, bo znów zawrzał gwar, tym razem szumniejszy. Paru strzelców grało pobudkę figlarną: hasło do śniadania. Ta nuta dziwnym jakimś fizycznym szczęściem napełniła pierś Dołęgi, który stał jeszcze nad swym łupem i spoglądał na trakt Warski.

W kierunku do Waru wlokła się jedna z tych bud cygańskich, namiot na kołach, pełen szmat brudnych i kolorowych, pełen dzikich oczu. Buda dojeżdżała do miejsca, na którym stał Dołęga. Od Waru zbliżała się bardzo szybko para czarnych wielkich koni, za którą mało co jeszcze było widać: stojącą nisko postać woźnicy, pewno w sankach. Ale Dołęga domyślił się, a wkrótce i stwierdził, że panie z Waru przyjeżdżają na śniadanie.

— Jakto?! powozi Halszka? tą parą piekielnych ogierów po ślizkiej drodze?! a to kozak dziewczyna! Księżniczka Halszka Zbarazka, siostra Andrzeja, powoziła rzeczywiście, stojąc na przodzie prostych bosych sań, w długim męskim futrze, w furmańskich rękawicach, w barankowej czapeczce, bez woalki.

Kładła się trochę na lejcach, ciągniętych przez dwa potężne wiedeńskie kłusaki, czarne jej oczy groźnie patrzyły z zarumienionej twarzy dziecka, a usta odęte udawały przesadną tęgość.

Rozpędzone sanie miały się właśnie minąć z cygańską budą. Pani Hohensteg, siedząca za Halszką, wychyliła się niespokojnie, furman wypędzony widocznie z kozła i przyczepiony z tyłu do sań, powstał, jakby chciał ująć lejce na wszelki wypadek, — cygańska bryka zajmowała bowiem środek drogi. Ale już dzielny woźniczka przesunął rozpędem sanie po wązkim i pochyłym boku drogi, między rowem a bryką, rzuciwszy tylko silnym głosem, dźwięczącym jak piorun, zagrany na flecie:

— Na bok, psiaa... krew!

Należało teraz zawrócić na linię leśną i jechać po niej stępa, bo była wążka i nierówna. Halszka przechyliła się całą siłą w tył, wstrzymała konie i wjechała na linię.

Mijała Dołęgę i uśmiechnęła się, odpowiadając na jego ukłon. Całą grozę zdmuchnął jej niby wiatr wiosenny z twarzy. Mówiła wdzięcznie, pełną

dziewczęcą piersią; mówiła, niby skarżąc się:

— No, niech pan sam powie — te cygany!

A zobaczywszy leżącego kozła, zawołała znów innym tonem:

— A! zabił pan rogacza? brawo panie! Dołęga trochę się zapatrzył, dopiero, gdy go pani Hohensteg zaprosiła, by się przysiadł na saniach, zebrał rażno strzelbę, ładownicę i jednym susem znalazł się obok panny Izy.

Była to piękna kobieta lat trzydziestu paru lub kilku, o wspaniałej podstawie, regularnych rysach, dowcipnych, zmysłowych, siwo-niebieskich oczach.

Szczególnością miała plastyczność ruchów i smak w ubieraniu się. Dołęga poczuł bardzo dobry zapach futra, zmieszany z jakąś wonią kwiatów, ale ten zapach drażnił go raczej nieprzyjemnie. Siedząc obok pani Hohensteg, myślał, jak też pachnie ten kosmyk włosów Halszki, który wysunął się z pod czapki i powiewał, czarno-rudawy, na barankowym kołnierzu kożuska. Odgadła to pani Iza.

— Co pan woli, kozuch, czy sobole?

— Nie znam się na futrach, pani hrabino.

— A na czym się pan zna? O czym się z panem gada, panie biały kogucie? Ha, ha!

Pani Hohensteg miała zwyczaj mówić nawpół zalotnie, nawpół szyderczo i udawać chłopca-urwisa. Miało to czasem ostry smak szczególny, czasem dźwięczało trochę fałszywie.

— Skąd pani zna mój przydomek? Andrzej pani powiedział?

— Ja powiedziałam — rzuciła prędko Halszka, odwracając do siedzącej za nią pary swój czysty, attycki profil.

— Pani? a to mnie bawi!

Dołęga począł się kręcić, nie znajdując stosownego dalszego ciągu rozmowy między temi dwoma tak różnymi kobietami.

Ale dojechali do miejsca, gdzie przyrządzano śniadanie. Buchał dym błękitny z rozłożonego ogniska, dym lekki, wesoły, przesłaniający ruchomym słupem stare sosny.

Paru biało ubranych kuchcików zwijało się około przygrzewania saganów, służba zamkowa i leśna biegała od ognia do altany, która, ubraną w wieńce sosnowe, w cyfry i mitry, wznosiła się na małym pagórku. Zebrali się już koło niej myśliwi i gadali tak głośno, że słyhać było na paręset kroków wybuchy śmiechu i zwykle onomatopeje łowieckich opowiadań: bęc! rrym! fajt!

Nie zważając na nierówność drogi, która wznosiła się nieco w tem miejscu, Halszka zajęła tęgim kłusem przed altanę.

Ucichli myśliwi, odkryli głowy; Andrzej podał rękę pani Izie, aby jej pomódz wysiąść; ale ona oparła mu się na ramieniu tuż koło szyi i wyskoczyła zgrabnie, wielka, strojna, wyzywająca porównania do łani i lwicy.

Tylko Halszka, chociaż już furman ujął lejce, stała na kozle w swym długim męskim kozuchu, zdjęła rękawice i oglądała ręce zaczerwienione, drżące. Szepnęła nareszcie bratu:

— Jędrus! weź mnie z tych sani, bo nie mogę...

Andrzej ujął ją wpół oburącz i postawił na śniegu, potem, jak z futerału, wydobył ją z kozucha i z niekształtnej postaci woźnicy wyłuszczył dziewczę, ubrane w opięty kubraczek, zdrowe, choć wiotkie, o profilu Dyany, o mokrych, dobrych ustach. Stało trochę oszołomione, podając wszystkim serdecznie swe odrętwiałe od wysiłku rączki.

— Okropnie ciągną te kare... trudne są te kare — powtarzała Halszka, odpowiadając samej sobie na jedyne pytanie, które ją zajmowało w tej chwili.

A twarze mężczyzn mówiły co innego. Spostrzegła to pani Hohensteg. Podając ramię Szafrącowi, weszła do altany i przerwała nieme rozrzewnienie mężczyzn około Halszki.

— Ładnie tu jest — rzekła siadając na ławie, zwrócona do rozległego widoku na rzekę, na faliste pola i lasy, poza którymi widać było z daleka zamkową górę, uwieńczoną murami i wysmukłą wieżą kaplicy.

— Stąd War dobrze wygląda — rzekł Andrzej. — Zbliżka patrząc, widzi się różne dziwactwa architektoniczne, moich zacnych przodków, którzy, jak reszta świata, musieli być niegdyś parweniuszami. Prawda Izo?

Siadali wszyscy bez porządku, ani hierarchii, — po myśliwsku. Pani Iza, klepiąc dłonią ławę przy sobie zapraszała uśmiechem i gościem Hektora Zawiejskiego, który prześlizgnął się gładko, usiadł i wmieszał się do rozmowy:

— Ale co mówisz, Andrzej? War jest zabytkiem z trzynastego wieku.

— Z szesnastego — poprawił Andrzej.

— Z któregokolwiek — w całości swej jest cennym zabytkiem — *une de nos gloires nationales!* Prawda papo? — rzekł zwracając się do ojca — gdybyśmy mieli taki War...

— Tobyście go polakierowali na czarno, żeby był jeszcze starszy — odezwał się podziły szlachcic, który ze swojej prawdomówności urobił sobie charakter i karierę.

— Daj pokój, Szydłowski! — bronił syna pan Norbert Zawiejski — Hektor ma słusność: stare zabytki trzeba szanować nawet z ich usterkami.

Głowa pana Norberta, wielka, łysa, z siwą kędzierzawą brodą i takimiż lokami przy uszach, przypominała barokowych apostołów; był przytem rosły, barczysty i pełen okazałej powagi.

Hektor skubał brodę z pewnym rozdrażnieniem: nie wygadał się, a na pocisk, wymierzony przez Szydłowskiego, skoro już odpowiedział ojciec, syn nie miał powodu odpowiadać.

— Ja państwu powiem — rzekł Kersten, dbały o poprawność i ostateczną przewagę swego zdania, co mu zyskało przydomek »ortografa« — ja państwu powiem: trzeba odróżnić stary War, to jest basztę zachodnią i część południowej, od nowych dodatków. Baszta zachodnia...

Nikt nie chciał słuchać tych wywodów, zaczem baron pochylił się do siedzącego przy nim Szafranca i kończył rzecz ciszej. Szafraniec potakiwał z lekka, żując poważnie śniadanie i milcząc.

Słońce wydobyło się z chmur, powietrze rzeźwe, przesycone wonią sosnową, zapełniło wszystkie piersi dobrobytem i fantazyą. Obecność dwóch pań nie wprowadziła do altany atmosfery salonowej; mężczyźni byli u siebie, a panie udawały towarzyszków broni, co nawet ubiór ich krótszy wyrażał. — Głos zabierała głównie pani Iza. Halszka znużona, opierała się o słup altany i siedziała cichutko między starym Szydłowskim i Szafrancem, czasem tylko otwierała usta do uśmiechu, który był promienisty.

Zaraz rozmowa zesłała na myśliwstwo. Ten opowiadał o najświeższych wrażeniach dnia, tamten porównywał ilość zwierzyny z przeszłoroczną:

— Stan sarni wyborny, wszędzie je widać. Zajęcy może trochę mniej — zimna była wiosna. — Kersten opowiadał o »strekach« na polowaniach szląskich, gdzie go zaproszono, temu lat 20, specjalnie dla arcyksięcia X., z którym był w przyjaznych stosunkach.

— Musiał być podówczas zabawniejszy — szepnął Andrzej do pani Izy.

— J'te crois! — odszepnęła.

Krupnik i poledwicę sprzątnięto sumiennie. Wino i piwo nie czekało w szklankach. Pani Hohensteg piła, jak markietanka, i z największą swobodą uderzała Andrzeja serwetą po głowie. Zamierzyła się też raz na drugiego swego sąsiada — Hektora.

— Chce pan dostać po łbie?

— Oh, madame la comtesse! — skłonił się Zawiejski rozkosznie i położył prawie na talerzu starannie rozczesaną głowę.

— Pan ma dobrą głowę z tyłu! ha, ha! — zaśmiała się pani Iza, odkładając serwetę.

Książę Koryatowicz, krewny Zbaraskich, zawołany myśliwy i doskonały strzelec, traktujący łowiectwo zupełnie fachowo, troszczył się o to, kto zabił najwięcej sztuk, i pytał każdego po kolei.

— A wystrzeliłeś nareszcie, mój zagwoźdzony ładuneczku! — wołała na niego rozbawiona pani Iza.

Ale poważny, choć młody, kuzyn puścił mimo uszu wyzwanie i pytał dalej:

— Pan baron?

— Och, ja mam stałego »pecha«. Zabiłem, zdaje się, trzy zające.

To było Koryatowiczowi obojętne, bo miał sam trzy kozły, dziesięć zajęcy, cietrzewia.

— A pan? — pytał z kolei Dołęgi.

— Zabiłem piętnaście zajęcy, lisa i kozła.

— To pan ma więcej sztuk odemnie.

— A tak.

— No, jeszcze nie wieczór, zobaczymy.

Spojrzał na Dołęgę z nowem zupełnie uszanowaniem.

Pani Iza rzekła do Dołęgi:

— Widzi mi się, że pan tylko tak udaje inżyniera, żeby nam zaimponować, a w środku siedzi w panu birbant.

Zaśmiano się, bo Dołęga mało pił i mało mówił przy śniadaniu; poczuł więc ten lekki zamiar dworowania sobie z niego. Odpowiedział, spokojnie, mierząc rozbawioną kobietę jasnemi oczyma:

— Dziwi mnie, że pani hrabina tak mało zna się na birbantach.

— A na inżynierach jeszcze mniej — prędko odpowiedziała pani Iza. — Stanę przy panu na przyszłym stanowisku, przyniosę wenę i zrobię z pana króla.

— To mi przypomina najukochańsi goście, że pora ruszać — rzekł Andrzej. — Musimy jeszcze opolować pięć zakładów i wrócić do Waru przed zachodem słońca. Ojciec prosił. Niech Iza stanie sobie teraz przy Dołędze, a ja zabiorę z sobą Halszkę... Patrzcie na Halszkę, tylko cicho..

Spojrzeni wszyscy na dziewczę, które, oparłszy głowę o słup altany, drzemało uśmiechnięte, bledsze niż zwykle, kołysząc miarowym tchnieniem swój opięty kubraczek.

— Śpiąca Aryadna — rzekł Kersten.

— Zupełnie — pierwszy raz zgodził się z Kerstenem Dołęga.

— Zagrać sygnał! — rozkazał Andrzej półgłosem.

Na dźwięk trąby zerwała się Halszka z ławy, zarumieniła się gwałtownie i nareszcie się sama z siebie rozśmiała.

— Te konie zmęczyłyby każdego z panów, doprawdy — tłumaczyła się jeszcze. — Wczoraj Barnaba nimi powoził i poniosły go. Ja jestem bardzo silna, panie Dołęgo, niem a się z czego śmiać. O! niech pan spróbuje.

Wyciągnęła do niego ramię, biorąc się lewą ręką za muskuł prawej, niby gimnazysta, popisujący się przed kolegą.

— No, niech pan spróbuje.

Dołęga dotknął ciepłego, okrągłego ramienia dziewczyny, nie śmiejąc jej spojrzeć w oczy.

— A co?

— Bajeczne.

Andrzej zawołał na siostrę, by z nim siadała do bryczki.

— Ja mam z tobą stać na stanowisku? — rzekła Halszka, żebyś mi nie pozwolił ust otworzyć? Niechcę. Ja sobie kogoś wybiorę.

I widząc, że wszystkie oczy zwrócone ku niej, gotowe są aż nadto na jej skinienie, użyła starego fortelu. Czytała może Szyllera?

— Kto mi podniesie rękawiczkę?

Ze wzniesionej altany cisnęła rękawiczkę przez baryerę na śnieg. Rzuciła się młodzież po nią, ale tymczasem stary Szydłowski, który już był — zszedł i, niewidzialny dla innych, stał pod altaną, słysząc przemowę i widząc rękawiczkę, spadającą mu pod nogi, podniósł ją, a potem, prezentując, zbliżał się do Halszki w komicznych podrygach:

— Teraz, proszę ze mną do lasu, proszę, nie ustąpię.

— Nie — rzekła. Halszka, odymając przymilnie usta — pan mi także nie pozwoli mówić; stanę sobie... z Adamem.

I wzięła Szafranca pod rękę, opłaciwszy się Szydłowskiemu dość zalotnem spojrzeniem.

Pani Hohensteg, siedząc już w sankach, patrzyła na tę scenkę i rozmyślała zapewne nad tem, że młodość jest najlepszą polityką z mężczyznami.

— Halszko! siadaj prędzej! — wołał Andrzej — staniesz sobie, gdzie zechcesz, ale nie opóźniaj wyjazdu.

Panie siadły razem, jak poprzednio, tylko już furman powoził. Mężczyźni pomieścili się w bryczkach i sankach; nowe stanowiska były oddalone i trzeba było do nich dojechać. Dołęga siadł na pierwszą lepszą furmankę, pochylił się mocno i ścisnął skronie rękoma.

— Co panu jest? — zapytał Koryatowicz siedzący obok niego.

— Nic, głowa mnie boli.

— Niech pan nie przykłada strzelby do twarzy, tylko strzela z przyrzutu.

Koryatowicz liczył na to, że, strzelając z przyrzutu, Dołęga zabije mniej popołudniu i nie zostanie królem.

A Dołęga już dawno zapomniał o swem myśliwskim królestwie.

III.

W wielkiej sali jadalnej zamku na Warze, dwaj mężczyźni, pochyleni nad papierami i księgami, zatopieni byli w jakimś artystycznym zajęciu. Książę Janusz Zbarazki kopiował ołówkiem rycinę ze starej księgi, której oprawa »alla rustica« cechowała wyraźnie XVIII wiek francuski, przyczem podnosił co chwila oczy na ogromny zielonkawy piec, stojący w rogu sali. Ostry, zakrzywiony nos, twarz okrągła, oczy okrągłe, do połowy przysłonięte cienkimi powiekami, symetryczne kosmyki włosów nad uszami po bokach wyłysiałej czaszki — przypominały głowę puszczyka, nie pozbawioną jednak powagi zwłaszcza w tej sali, gdzie z portretów wyglądał nie jeden podobny nos, podobny owal, lub okrągłe, przysłonięte oczy. Z żalem trzeba było wyznać, że i Andrzej do ojca podobny, że i z niego może kiedyś stać się ruina, świadcząca zaledwie o starej rasie i minionej piękności. Miał jednak inne oczy i dużo lepszą postawę, niż ojciec; książę Janusz był średniego wzrostu, nieco otyły.

Podczas gdy książę pilnie rysował, przechodząc wzrokiem od pieca do książki, od książki do papieru, druga postać siedziała nieruchomie, wpatrzona w rysunek. Była to tylko głowa, stara, prastara głowa siwa, wychodząca, niby z harmoniki z poziomych fałdów odwiecznego halsztucha i surduta, podobnego do czamary. Pan Franciszek Salezy Marsowicz, burgrabia Warski, znał jeszcze dobrze dziada obecnego księcia, był w wieku jego ojca i oczywiście »na rękę nosił« tego Janusza, który był dzisiaj panującym dynastą na Warze. Marsowicz nie wyjechał z Waru od lat kilkudziesięciu i miał o znaczeniu książęcego domu wyobrażenie co najmniej przesadne. Ze sługi stał się pomału niemal członkiem rodziny, dbał o tradycję i splendor Zbarazkich, jak żaden z książąt tego imienia. Lubili go wszyscy Zbarazcy, gdyż dawał im złudzenia feodalne.

Książę Janusz skończył szkic i postawił arkusz na stole, aby mu się lepiej przypatrzeć.

— Tak będzie dobrze: rogi zaokrąglone, u góry fryz francuski, całość bardziej wysmukła... tylko czy taki piec będzie tu stosowny? Jak myślisz, panie Franciszku?

— Książę pan lepiej narysował, niż kopersztych — rzekł Marsowicz, wysuwając pergaminowe fałdy szyi ze zwojów halsztucha.

— Nie o to pytam, tylko czy piec taki dobrze zastąpi nasz stary, czy dostateczny na dużą salę, czy stosowny?

— Jak książę pan uważa.

— Tęgi z ciebie doradca, mój Marsie. Ano, zobaczymy, co tam wykoncypował

muzyk mojej żony.

Klasnął w dłonie i rzekł do wchodzącego lokaja:

— Zobacz, czy pan Amon jest u siebie. Jeżeli jest, poproś go ode mnie o rysunek nowego pieca, rozumiesz? Rysunek nowego pieca, który obiecał mi zrobić dzisiaj.

Skrzyżował ręce na piersiach, podniósł okazałą ptasią głowę i czekał. Marsowicz, oparty oburącz o laskę, której od pewnego czasu nie opuszczał, siedział również nieruchomie. Na zwiędłej i pooranej twarzy chwilowe wrażenia duszy już nie grały wyraziście, jednak z częstego mrugania i pewnego ruchu policzków można było wnosić, że staruszek boleje nad swym brakiem pomysłu i stara się ze wspomnień, z kroniki zamkowej wydobyć ten piec do sali jadalnej, rozstrzygnąć tę sprawę familijną; że sięga do wnętrza swej istoty, gdzie rada śpi w sercu męża.

Przyszedł sam pan Amon z wykonanym przez siebie szkicem. Był to młodzieniec, sprowadzony do Waru przez księżną Hortensyę, która przy schyłku młodości coraz bardziej zajmowała się literaturą i sztuką. Amon grywał jej godzinami na fortepianie, dorabiał muzykę dla jej piosnek, umiał też rysować, rzeźbić, fotografować — był artystą w każdym rodzaju i w każdym ruchu. Nie nosił klasycznej grzywy, zaledwie trochę potargane miał włosy: czarne oczy patrzyły zawsze gdzieś w górę na prawo, jak ze znanego portretu neapolitańskiego, lazzarone. Zresztą był cały w długich, wilgotnych rękach, którymi objaśniał wszystko co mówił, aż do przyimków.

Pan Amon wszedł do sali jadalnej i uklonił się księciu spiralnie. Potem rzekł:

— Staralem się coś zrobić (nieokreślone trzęsienie powietrza, wyrażone przez palce) — nie wiem, czy to się spodoba? (ruch skromny) — fioletowe irysy na żółtem tle (symetryczne liniowanie powietrza) — ale ja to tak czuję...

Podał karton księciu, który nie znał nowych francuskich afiszów, nie mógł przeto ocenić pomysłu. Rzucił okiem na papier, potem na autora, potem na Marsowicza i rzekł trochę kwaśno:

— Dziękuję panu. Namyślimy się jeszcze nad tem.

— Przepraszam, jeżeli... (oczy w górę, na prawo)... ale ja to tak czuję.

I Amon znikł demonicznym półobrotem we drzwiach.

— Mnie się zdaje, że ten chłopiec ma bzika? — rzekł książę po wyjściu artysty.

— Et, proszę księcia pana... — było odpowiedzią Marsowicza.

— To już my we dwóch lepsi, co? — rzekł znowu książę.

Tymczasem Marsowicz przełknął ślinę, uroczyście skinął brwiami i tak mówił:

— Nie śmiem ja księciu panu doradzać, mogę tylko ze skołatanej, wiernej

książęcemu domowi pamięci przeszłości wysnuć pamiątki. W moich oczach stawiano ten piec w roku, jeżeli się nie mylę, 1842, sumptem księcia Hieronima, ojca waszej książęcej mości. Kafle sprowadzono z Gdańska.

— Z Gdańska?

— Tak jest. Przyszły wtedy próby kafli: jedne białe, z błękitnymi wizerunkami z Pisma świętego, drugie zielone, gładkie, które tu książę pan widzi, bo je ś. p. książę ojciec wybrał, że były stosowniejsze i mniej kosztowne. Jeżeliby jeszcze w Gdańsku dostać można tych kafli, albo tamtych z wizerunkami, ośmieliłbym się...

— Wyborna myśl, panie Franciszku! Najlepsza myśl. Poszukamy pieca w Gdańsku, a jeżeli nie znajdziemy, to można obstalować na wzór podobny w Meissen, w Budziszynie. Dziękuję ci, panie Franciszku! To nie fioletowe irysy... Idę oznajmić księżnej, żeśmy się zdecydowali obstalować piec w Gdańsku.

Poszedł przez cały rząd pokojów, gdyż zamek był wielki.